



## Lea Balint

część I z II

Sygnatura notacji: **N1285**  
Data urodzenia: **23.06.1938 r.**  
Data nagrania: **8.08.2018 r.**  
Miejsce nagrania: **Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 27 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sikorski: Proszę nam powiedzieć, jak się pani nazywa, gdzie i kiedy pani się urodziła. Jak się nazywali, czym zajmowali się rodzice. O miejscu dzieciństwa w czasie do wojny i wojennym.**

**Lea Balint:** To nazywam się Lea Balint i zajmuję się historią dzieci bez tożsamości, które przeżyły w Polsce, które straciły swoją przeszłość fizyczną, które nie wiedzą, kim oni są, kto byli ich rodzice, czym się zajmowali, gdzie się urodzili. Na ten temat piszę książkę, mam nadzieję, że wyjdzie w Polsce też i pracuję już długie lata na tym temacie. I założyłam też oddział dzieci bez tożsamości w Muzeum Bohaterów Getta w kibucu Bohaterów Getta. I do tej pory znalazłam więcej niż stu osobom ich przeszłość. Jedna znalazła matkę swoją w Danii. Niektórzy znaleźli rodziny, siostry. Przeważnie, większość ludzi znalazła swoją przeszłość, bo nikt nie pozostał po wojnie. Ja się urodziłam właściwie w Radomiu, bo matka pojechała mnie urodzić w Radomiu, ale jestem zapisana w Ostrowcu i pisze Marian Mosze Alterman. Jego żona, Adela Zaidenberg pochodząca z Radomia, urodzili dziewczynkę, że nazywała się Lusja, Lea, 23 czerwca trzydziestego ósmego roku. To znaczy, że moi rodzice pobrali się w trzydziestym siódmym, urodziło się dziecko i jak miałam rok, wybuchła wojna. Z początku oni sobie żyli bardzo ładnie w Ostrowcu. Mój ojciec był właścicielem fabryki „Mebel”, czyli, że zakładów, zakłady mebli, bardzo eleganckich mebli. Robili z drzewa, orzechowego drzewa, piękne meble i wybuchła wojna. I oni musieli oddać ten majątek, bo była aryżacja majątku. I oni oddali ten majątek, mój ojciec oddał swojemu przyjacielowi z Ostrowca. I zakłada się getto w Ostrowcu, w czterdziestym roku. Ja już mam dwa lata, do tej pory, mama sprowadziła swoją rodzinę z Radomia, babcię i dziadka i było tam siedem sióstr i dwóch braci. Ale siostra i brat wyjechali do Palestyny przed wojną i tak się uratowali. Te wszystkie siostry już miały mężów i dzieci. I cała rodzina właściwie mieszkała w Radomiu, mojej matki. Ojciec miał jeszcze trzech

braci i siostrę. Siostra wyemigrowała do Brazylii, to znaczy trzech braci, którzy zginęli. I po nich pozostało tylko jedna córka, najstarszego brata i syn, w Oświęcimiu, ona też Oświęcim, najmłodszego brata. Ta córka wyemigrowała do Francji, do Izraela, później do Francji, a on – Aik, ten mój kuzyn, pojechał do Brazylii, nie, pojechał do Anglii, w ramach tego, że królowa przyjęła osiemset dzieci obozów do Londynu, do Anglii. I tam miał już wtedy siedemnaście lat, jak wszedł do Oświęcimia, to miał, zdaje się, czternaście. Przeżył bardzo ciężkie życie i do dzisiejszego dnia, jak się mówi Oświęcim, on zaczyna płakać. Ma już dziewięćdziesiąt lat, zdaje mi się. Tak, dziewięćdziesiąt lat. I wybuchła wojna, cała rodzina wchodzi do getta ostrowieckiego. I tam się żyje. Spotkałam w osiemdziesiątym czwartym roku piekarza, który rzucał mojemu ojcu chleb przez ten mur, czy nie wiem, co tam było. I pokazał mi, zaprosił mnie do siebie, do swego pokoju, w którym mieszkał, na ulicy Młyńskiej w Ostrowcu, i weszłam do tego pokoju, i tam był taki śmietnik straszny na tym łóżku i tego. I on mnie się pyta: „Pani nie poznaje?”. Ja mówię: „Czego ja mam poznać?”. Ja byłam małym dzieckiem, ja nie pamiętam Ostrowca wcale. Mieszkaliśmy na Okólnej 6, to on mówi: „Ale jak to? Pani nie poznaje? To jest łóżko pani matki i ojca”. I zdejmuję to wszystko i ja widzę piękne łóżko na tym śmietniku. Byłam tak przerażona, że ten szofer, który mnie przywiózł, widział, jak ja wyglądam, to powiedział: „Proszę pani, ja muszę już wyjechać, bo ja się spóźniam”. I wziął mnie z tego mieszkania, i wróciliśmy do tego. Ale ten piekarz mi opowiadał, że miałam piękną matkę i ojciec był kupcem, i matka znała języka niemieckiego i francuskiego, i angielskiego. Ona znała dużo języków. Była bardzo wykształcona, mój ojciec mniej, ale był bogaty. Sobie wziął piękną żonę. I to był osiemdziesiąty czwarty rok, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Polski. W getcie, nie pamiętam z getta nic a nic. Pamiętam tylko, że zakonnica, jechałam pociągami i miałam zabandażowane oczy, oko jedno. I ktoś mnie oddał do Brwinowa, nie wiem, czy to była ta, ale kiedyś widziałam fotografię Matyldy Getter i rozumiałam, że ona była tą zakonnica. I zostaję w Brwinowie, jako dziecko, od razu. Nie pamiętam, że płakałam, że mnie, nie przyzwyczaiłam się, wszystko szło jak niby urodziłam się w klasztorze. Siostry zakonne to moje matki, ojca nie szukałam wcale. I tak myślę, że wszystkie dzieci. Bo były wesole dzieci, ale bardzo posłuszne. Był tam taki ciężki, jak się mówi, reżim i trzeba było się dostosować do wszystkiego. Nie wolno było mówić głośno, nie wolno płakać. Trzeba bardzo być posłuszną, inaczej się dostaje karę. Siedzieliśmy w kącie na grochu, na kolanach. I trzeba było podnieść ręce. I ja zawsze oszukiwałam, bo zdejmowałam te ręce, nie miałam siły. Byliśmy bardzo głodni, głodne dzieci. Pamiętam, że mając pięć lat, kazali mi obrać kartofle i takie małe rączki, nie potrafiłam, i obrałam grubą łupinkę. I wtedy ta pani, która pracowała w kuchni, nie była zakonnica, powiedziała: „Za karę, dzisiaj nie dostaniesz ziemniaka, dostaniesz te łupinki”. I przynieśli mi talerz, taki d... Talerz pełen łupinek, ja siedziałam i tak zdejmowałam tę skórkę i najadałam się, pierwszy raz w życiu w klasztorze, bo miałam może trzy ziemniaki. Od razu rozumiałam, że to jest wspaniała rzecz. Nazajutrz obrałam, jeszcze grubsze łupinki robiłam. I dostałam znowu taki pełen talerz tych łupinek. I wtedy one na pewno rozumiały, że trzeba zwolnić mnie z tej pracy, ale nie pamiętam, żeśmy sprząkali, albo coś, żeśmy takich rzeczy nie robili. Ale modliliśmy się bardzo dużo. Były opowiadania w klasztorze, zakonnice po obiedzie opowiadały nam różne takie bajeczki, nieraz przerażające. Baliśmy się zmarłych przeważnie, że oni przychodzą zemścić się i różne takie rzeczy. I po obiedzie był odpoczynek. I ja się strasznie bałam samolotów, bo zdawało mi się, że one tak fruwać nisko, że dotykają nas, bo myśmy leżeli. Nie wolno się było ruszać, nawet jak coś drapało. Trzeba było leżeć tak sztywno i odpoczywać. To samo było w żydowskich domach dziecka. Bo ja pamiętam, że byłam w Otwocku, w sanatorium żydowskim. Nie wolno było się ruszać. Jak dziecko się kładło, tak te dwie godziny musiało leżeć i nie wolno się było ruszać. Wtedy były inne metody. Jedzenia nie było. Ubranie zakonnice nam robiły ze spadochronów. Jak spadały te spadochrony, z tego się robiło ubranie dla dzieci. Butów, mieliśmy takie duże buty i zawijaliśmy gaze-

tami nogi, żeby nie było zimno zimą, bo nie było skarpet. Były rękawiczki, bo ja pamiętam, że nie wolno było podnieść śniegu, bo moczymy te rękawiczki i możemy się przeziębnić. Spacerowałyśmy tylko na cmentarzu, bo zakonnice bały się wziąć te dzieci na ulicę, bo niedaleko nas, bardzo blisko był taki sztab niemiecki. Nie pamiętam, czy to było Gestapo, czy to było wojsko niemieckie. Ale ja tam chodziłam już, jak mając sześć czy siedem lat, chodziłam tam, nie, jak miałam sześć lat, dlatego że już w siedem opuściłam klasztor. Chodziliśmy do szkoły tam. Na parterze byli Niemcy, a ja miałam wejść do pierwszej klasy mojej, strasznie się bałam tego. Pytałam się: „Dlaczego ja się mam bać Niemców?”. Zakonnica mi wytłumaczyła, że: „Niemcy nie lubią dzieci z czarnymi włosami”. To starczyło, bo mnie goliły nie raz i dali mi taką czapkę chłopca, ale zawsze prosiły, żebym zasłoniła teczką stronę niemiecką. Znaczący, szłam tak albo tak, trzymałam tę teczkę. Ale się bardzo bałam i nie rozumiałam, dlaczego, ale jak mi wytłumaczyli, dzieci w czasie wojny były bardzo posłuszne. Bo w jakichś instynktach czuli, że grozi im śmierć, jak nie będą posłuszni, że mogą ich wydać, albo im wyrzucić. Co to jest Żydówka, w ogóle nie wiedziałam. Nie wiedziałam, nigdy nie słyszałam jakiegoś antysemickiego słowa, o Żydach, od zakonnicy, nigdy w życiu. Ale wyszłam z klasztoru antysemityką. Nie wiem, skąd to się wzięło, bałam się Żydów, nienawidziłam Żydów. Żyd to jest człowiek, którego Niemiec zabija, a Polak prześladowuje. Tak czułam. Kiedyś, ktoś mi chciał dać cukierek, już to było po wojnie. I widziałam, że to jest Żyd, nie chciałam wziąć od niego cukierka. Bałam się, że to jest trucizna. Kończy się wojna, czterdziesty piąty rok, zostawiają mnie jeszcze trochę w klasztorze, ale przychodzą matki, takie zwariowane matki, zabrać swoje dzieci. Niektóre, które wiedziały i mówią mi: „Żydzi przyszli zabrać dzieci”. A ja jestem szczęśliwa, że ja zostaję w klasztorze, że nikt mnie nie zabiera. Jednego razu przychodzi pani elegancka, blondynka, ubrana ładnie. Przyszła mnie zabrać, chętnie idę, bo to nie Żydówka. Idę się modlić, podziękować za ocalenie, wtedy mnie zakonnica, ale ja jeszcze nie wiem, kto mnie ocalił, jak mnie ocalono. Znaczący od Niemców, to wiem, że jestem ocalona. Ale nie rozumiem tych rzeczy. W ogóle, ja biorę tę codzienną chwilę. Ja żyję tą codzienną chwilą. I okazuje się, że ona jest Żydówką, ale ja wtedy nie wiedziałam tego. I ona mnie odbiera i idziemy do, na Pragę. Dlaczego na Pragę? Później zrozumiałam, bo na Pradze, nie była rozłożona Praga, tylko były tam domy, na Żąbkowską 11, pamiętam, że stał taki pomnik Matki Boskiej. Że dzisiaj to jest coś takiego, ale wtedy to było coś olbrzymiego. I ja tam przychodzę się modlić i cały czas krzyczą na mnie dzieci: „Żydówka”. Ja wracam do mojej Zosi, do cioci, bo ona była moją kuzynką, ale ona była o tyle lat starsza ode mnie, że ja na nią wołałam ciocia. I mówię: „Wiesz, dzieci na mnie wołają, że ja jestem Żydówką. Co to ma znaczyć? Dlaczego oni mnie tak obrażają?”. To ona mówi: „Oni ci mówią Żydówka, powiedz ty im z powrotem”. Ja schodzę na dół, na każdego krzyczę: „Żyd! Żydówka!”. I tak my się bawimy w to. I oni krzyczą na mnie, ja krzyczę na nich. I opuszczamy ten dom, nie pamiętam, dlaczego i kiedy. I ona mnie oddaje do żydowskiego Komitetu w Warszawie. I ten Komitet wysłał mnie do Zatrzebna, Żydowski Dom Dziecka w Zatrzebnie. Ja jeszcze nie rozumiem, co to jest żydowski, czy nieżydowski. W tym domu dzieci były dzieci, tak może pierwsza klasa, może nawet młodsze były, nie pamiętam. Ale byli też starsi, już studenci prawie. I w tym domu dzieci, bardzo dużo dzieci siusia w łóżku, w łóżko. Dużo dzieci krzyczy po nocach. Bardzo dużo dzieci budzi się i płacze. Część chce do swoich przybranych rodziców polskich. Dzieci uciekają, wracają te starsze dzieci, niektórzy uciekają, bo Żydzi ich złapali i przynieśli do tego domu dziecka, oni chcą tych przybranych rodziców. Są wyjazdy dzieci. Przychodzą rodzice, zabierać te dzieci. I ja się zawsze, jak jest takie zebranie, my siedzimy tak w kole i przychodzą ludzie, i patrzą tak: „To jest moje dziecko!”. I wtedy zabierają to dziecko. Ono chce, ono nie chce w tym domu, było nam wspaniale. Ja rozumiałam, że to nie jest scena dla mnie i ja uciekam, ja się chowam pod łóżkiem. Kiedy przychodzą zabrać te dzieci, mnie tam nie ma. To były straszne przeżycia, bo każde dziecko chciało, żeby ich, jego wziąć, żeby znaleźć swoich rodziców. Proszę sobie

wyobrazić, że ci rodzice nie widzieli tych dzieci trzy, cztery lata. Dziecko w tym wieku się bardzo zmienia. Maleństwo nagle staje się dzieckiem. A ja nie chciałam nikogo. Jednego dnia, ja się tam bawiłam, przeważnie z chłopcami, bo ja bardzo byłam taka rozwinięta sportowo. Jednego dnia, woła mnie wychowawczyni i mówi: „Znaleźliśmy twojego tatusia”. I biorą mnie, spotkać się z tatusiem. Ja widzę trzech mężczyzn, dwóch takich ubranych po elegancku, kapelusze i jeden w środku, na kulach, szkielet. Człowiek bardzo szczupły, takie przerażone oczy ma, straszny, czaszka. Ja dochodzę do tego najładniejszego, on mnie bierze na ręce i on oddaje mnie temu człowiekowi. Ale on nie może stać, bo on jest na kulach. Jak on tylko dotknął mnie i ta twarz moja dotknęła jego, ja uciekałam. Uciekałam, nie chciałam w żaden sposób, on krzyczał za mną: „Lusieńko! Lusieńko!”. Ja pamiętam ten krzyk jego. Nic nie pomogło. Oni odeszli i mój ojciec wrócił do Ostrowca, ja zostałam w Zatrzebiu. Wtedy moja kuzynka, Zosia, ta która mnie zabrała z klasztoru, powiedziała, że ona chce, żebym ja była w innym domu dziecka, bo ona mieszka w Łodzi, żeby mnie oddali do Helenówka. I to było moje wielkie szczęście, bo Zatrzebie powoli się likwidowało. Bo była wielka walka między Żydami komunistami, a Żydami syjonistami. Żydzi komuniści stworzyli jakieś dwadzieścia, piętnaście, później coraz mniej, domy dziecka żydowskie, Joint płacił za te domy. To były, półoficjalnie, państwowe. To był Zatrzebie, Śródborów, Otwock, Śródborowianka, Helenówek, Świder to było koło Warszawy. Były też na Śląsku domy. Później w Białymostku, Częstochowa, Kraków, było bardzo dużo tych domów dziecka. Myśmy nie wiedzieli tak, ja się też tym nie interesowałam. Ja przechodzę w czterdziestym szóstym roku do Helenówka i prosto do sanatorium, bo ja jestem bardzo chora. Dom dziecka nie chce mnie trzymać, a ja jestem chora umierająco. Dostałam proritisa, wodę w płucach i w ogóle nie mogłam chodzić. Jak wyszłam z klasztoru, miałam siedem lat, ważyłam siedemnaście kilo. I w ogóle nie mogłam chodzić po tym klasztorze. Dlatego, że był straszny głód. Nie mieliśmy co jeść. Były jabłka, bo były jabłka w ogrodzie. To tego jedliśmy. Po tych, w Helenówku było wspaniale. Ci ludzie, którzy wychowywali te dzieci, to przeważnie byli ludzie niewykwalifikowani, którzy stracili swoje dzieci i swoje rodziny. I ten dom dziecka, to był dom dla tych dzieci, które zostały też bez rodzin. I ja chodziłam tam, z początku oddali mnie do żydowskiej szkoły, w Łodzi. Ale ja byłam antysemitką i zaczęłam cały czas na lekcjach mówić: „He, he, he”. Nie chciałam się uczyć żydowskiego. I oddali mnie do RTPD, na Bałuckim rynku gdzieś to było. Jednego dnia, ja często uciekałam, bo ja lubiłam te lasy, kręciłam się po lasach sama. W Helenówku był las i tam stało wojsko radzieckie, i oni mi dawali cukierki. W ogóle się niczego nie bałam. Chodziłam, zbierałam jagody. Wtedy to się nazywało jagody, dzisiaj też? Borówki, nie? Zdaje mi się. I kręciłam się, bo było trzy kilometry. Ja szłam do drugiej czy trzeciej klasy, przechodziłam przez pole, las, stacja tramwajowa w Helenówku i jeździłam sama, tego. Ale przeważnie jeździłam ciężarówką razem z wszystkimi dziećmi. I zawsze zrzucali, zamykali ten, tę ciężarówkę brezentem takim spuszczały. I było strasznie duszno, i było pełno dzieci w tym. I ja nigdy nie rozumiałam, dlaczego ja słyszałam tylko trach na ten brezent. Nie rozumiałam, co to znaczy. Może piętnaście lat temu, ja mam przyjaciela, który był o wiele lat starszy, był ze mną w Helenówku, powiedział: „Lusiu, rzucali na nas kamienie”. Oni się bali, że te kamienie, w żydowskie dzieci rzucają kamienie. Jak byłam w tym żydowskim, żydowskiej szkole, to jak żeśmy wychodzili, to stały polskie dzieci i bili nas. Mam tutaj taki znak, że jeden stalówką tak, dał mi w czoło i zdaje się, że mam jakąś czarną plamkę do dzisiaj. I bardzo nam dokuczali. I był taki jeden, Jurek Frydman, który stracił rękę w czasie wojny, bo pracował u jakiegoś rolnika i tam złapała się maszyna, coś takiego. Uratowali go, ale jak on bił tą jedną ręką, tych polskich dzieci i bronił nas, i myśmy wszyscy patrzyli na tego Jurka jak na bohatera. I on ich bił, i oni uciekali. Ale rzucali na nas kamienie dalej. „Żydzi, idźcie do Palestyny”. Teraz jakiegoś spotkałam Polaka, powiedział: „Dlaczego żeście okradli Palestyńczykom ten kraj, zwracajcie”. Powiedziałam: „Proszę pana, jak my zwrócimy, byliśmy trzy miliony, a teraz jesteśmy prawie siedem,

to wracamy do Polski. Pan chce siedem milionów Żydów tutaj? To proszę, nie zwracamy żadnej Palestyny nikomu". Ale powiedziałam: „Kiedyś krzyczeliście, »Żydzi, idźcie do Palestyny«, a teraz krzyczą »Żydzi, uciekajcie z Palestyny«". Bardzo nam dokuczali. W szkole mniej, bo jak szłam do komunistycznej szkoły, to oni się dobrze odnosili do nas, inaczej to bym powiedziała w tym Helenówku, to by było bardzo źle, ci nauczyciele, tego. Nasza dyrektorka, pani Falkowska, która prowadziła później dom dziecka w Warszawie imieniem Korczaka, umarła kilka lat temu, może dwanaście, trzynaście. Ona była bardzo ostrą osobą i ona wychowywała z początku według psychologii Korczaka, później się zmieniło, komuniści, to był Makarenko. I było takie samodzielne, był zarząd dzieci, mnie było tam wspa- niale. Ja miałam być niby dziecko inteligentne i dostawałam specjalne lekcje, takie dodatkowe. I była taka, była sala czytania książek, to zawsze, jak nauczycielka była zmęczona, to ja czytałam. Byłam dzieckiem klasztoru, mówiłam bardzo dobrze po polsku. Inne dzieci były w czasie wojny w Rosji, było bardzo dużo dzieci, które repatriacja, wróci- li z Rosji i byli w tym domu dziecka też. Dzieci, które straciły rodziców w Rosji, ojca na froncie, a matka umarła z głó- du. I było tak bardzo, był nacisk na to, żebyśmy tańczyli, rysowali, malowali. I ja zawsze pracowałam w ogrodzie, bo ja lubiłam kwiaty. I tam zawsze po nauce, prędko leciałam tam pracować, pielęgnować te kwiaty. I miałam tam przyjaciół, różne dzieci. Jednego dnia przyszedł mój ojciec, nie. Zadzwonił i powiedział: „Weź kilka sukienek i ucie- kaj do, na stację tramwajową". Ja mówię: „Tatusiu – ja miałam wtedy już jedenaście i pół czy coś takiego – jak można coś takiego zrobić, przecież policja będzie mnie szukała". I on mówi: „Proszę cię, bo oni nie dadzą mi wziąć ciebie. I tak wszyscy robią, inne dzieci". To jest prawda, tak dzieci uciekały do rodziców i wyjeżdżały. „Wyjedziemy do Izraela". Już był Izrael, to jest rok pięćdziesiąty. W żaden sposób nie zgodziłam się. W klasztorze uczyli uczciwo- ści, w domu dziecka uczyli uczciwości, takich rzeczy się nie robi. Mój ojciec przyszedł i okazało się, że on musiał zapłacić za ten dom dziecka jakąś szaloną cenę, której nie miał. „Proszę pana, niech pan nie udaje, my wiemy, że pan jest bogaty". Po Oświęcimiu przecież on został bez niczego, tylko znali go z czasów przedwojennych. „Proszę za- płacić sześć tysięcy złotych za pobyt". Tyle i tyle miesięcy. Ja jako historyk, oglądam te wszystkie dokumenty z Hele- nówka i widzę, że żadne dziecko, płacili trzysta złotych. Jest napisane, cała ta, tego. Jedyne pisze Lea Alterman, Lusja Alterman, sześć tysięcy złotych. I mój ojciec tłumaczy, i nic nie pomaga. Ja siedzę na zewnątrz, ojciec mój jest u tej kierowniczkii, Marii Falkowskiej, z którą po wojnie byłam dość, nie po wojnie, tylko w latach, jak wracałam do Polski, byłam zaprzyjaźniona. I ona mówi: „Panie Alterman. Pan jest wdowcem. Pan ma jedyną córkę, którą pan nie potrafi wychować. Ja chcę to dziecko adoptować. Ona pójdzie studiować medycynę w Austrii. Ja jej wszystko zrobię dla niej". Ona była wtedy wdową po mężu, bezdzietną. W czasie wojny była w Samarkandzie i tam prowadziła polski dom dziecka, było tam czterysta dzieci. I mój ojciec mówi: „Proszę pani, to co jedyne dziecko, co mi zostało z całej rodziny. Jak ja mogę pani oddać to dziecko?". I ona próbuje go przekonać: „W takim razie proszę zapłacić tyle i tyle tysięcy za pobyt dziecka". Nie wiem, jak się to skończyło, wyjeżdżamy, jedziemy pociągiem z Warszawy przez Czechosłowację, Austrię, Italię. W Italii schodzimy, to był straszny pociąg, bo w jednym takim przekładzie było my i jeszcze jakieś pięć osób, dzieci z żoną i mężem. To było straszne. Jedziemy okrętem, ten okręt się nazywał „Galila". I była olbrzymia sala. I były prycze takie. Były piętra różne tych. Ja dostałam ostatnią pryczę. Cały czas kapłała woda, gorąca woda, tak krople z jakiegoś, z jakiejś rury. I tak większy czas spaliśmy, na pokładzie spaliśmy. Przyjeżdżamy do portu, patrzę nagle, zimowe ubranie mam takie dziwne spodnie, beret na głowie, tak jak dzieci polskie, powojen- ne. A tutaj, to jest listopad, dzieci w krótkich rękawach pędzą. I to słońce. I nagle przechodzi jakiś młody marynarz, którego ojciec znał na okręcie, z Ostrowca jego rodzice pochodzili, i przynosi mi pół szklanki soku pomarańczowego. Ja piję to i nie wierzę, że jest coś takiego, takie coś bajeczne, jak ten sok pomarańczowy. Tam czeka na nas ciotka

moja, siostra matki z córeczką. I one mnie biorą, z ojcem, do siebie, na górze w Hajfie. Ja patrzę i pada straszny deszcz. I nagle ten chodnik, jest para i jakby słońce suszy ten deszcz. I nagle jest tak pięknie i tak przeźroczyście, i tak czysto, ja jestem taka zdziwiona z tego, jak piękne miasto, ta Hajfa. Jedziemy do cioci, ciocia ma dwie córki, one mnie przyjmują, ta starsza bardzo źle, nagle jest nowa siostra, ona nie chce tej siostry tak bardzo. Toś mi dokucza, tak. Ale ta ciotka mnie kocha. I ojciec zapisuje mnie, przede wszystkim poszłam do powszechnej szkoły, ale nie skończyłam jej. Od razu zapisał mnie do gimnazjum, takiego najlepszego w kraju, w Hajfie. I do dzisiejszego dnia. I ja muszę zrobić egzaminy z arabskiego, z hebrajskiego, z angielskiego i z biblii. I ja tylko po hebrajsku ledwo mówię. Jednak zostałam przyjęta. Dziecko, nie mówiono wtedy te słowo: „Holokaust”. Nie wolno było. Nie wolno, nie istniało. Mówiło się, ona przyszła stamtąd. I te słowo stamtąd, po hebrajsku to się mówi miszam. To dla mnie było przerażające. „Ja jestem stamtąd!”. I szeptało się te słowa: „To jest sierota”. Moja ciotka mówiła. „Dziecko straciło matkę, dziecko przeżyło”. Ja się chciałam, w ziemię zakopać się, bo się wstydziłam. Dzieci nie chcieli żadnej litości. I poszłam do tej szkoły, skończyłam to gimnazjum i ojciec prosił mnie, nie byłam cały czas u ciotki, bo ciotka powiedziała: „Dosyć. Ona była cztery lata, teraz weź ją do siebie. Ona ci pomoże, ona ci będzie pomagająca”, już miałam szesnaście lat. I wzięliśmy jeden pokój, i w tym pokoju było strasznie, bo spaliśmy w jednym pokoju, trzeba było gotować w jednym pokoju, ja szłam jeszcze do gimnazjum, to musiałam też gotować i wszystko robić, nawet prałam. I ojciec starał się jakoś ciężko zarobić. Jak skończyłam, to on powiedział: „Przede wszystkim musisz mieć zawód, bo ja ci nie mogę pomóc w niczym”. I poszłam do seminar studiować nauczycielkę biologii. Byłam tam dwa lata, skończyłam to, wojsko. Miałam być zwolniona z wojska, bo ja pielęgnowałam starszego ojca już. On nie był taki stary, ale już miał więcej niż pięćdziesiąt i chcieli mnie zwolnić, i powiedziałam: „Ja? Ktoś mnie zwolni z wojska? To jest mój obowiązek”. Wszyscy tak mówili, każde dziecko. Przeważnie dzieci Holokaustu tak chcieli, wszyscy chcieli, oni szli, ci chłopcy, do najcięższej pracy w wojsku. Ja byłam dwa lata w wojsku, skończyłam wojsko jako trzy, jak to się mówi, miałam te trzy. I pojechałam do Europy wtedy. Taką wycieczkę hitchhiking zrobiłam, jak się mówi hitchhiking, autostop, przez całą Europę przejeżdżałam z moją koleżanką, która była nauczycielką karate. To wszyscy się pytali: „Co będzie? Co się stanie z tobą? Jak ktoś, coś ci zrobi?”. To ja powiedziałam: „Ja ją mam”. Ona też była dzieckiem Holokaustu, ale oni byli w Rosji, zdaje mi się. Rodzina tam na Ukrainie ich ratowała. Ja miałam, ale jak coś się stało, to ja walczyłam, a nie ona. Ona była tak przerażona, to jakiś pan pytał się: „Co będzie, jak my zechcemy cię pocałować?”. Powiedziałam: „Proszę pana, jak pan zechce mnie pocałować, to ja mam palce i pan ma oczy. To niech pan pomyśli, co będzie”. I on nas zostawił, i zawiózł nas na miejsce, i wszystko było w porządku. I wróciłam z wojska, to pożegnałam się z ojcem i pojechałam do Jerozolimy na uniwersytet. Ale w czasie wojska zaprzyjaźniłam się z tym generałem, który był tam odpowiedzialny za mój sztab. Kiedyś wszedł do mego pokoju, ja poszłam studiować w nocy, na uniwersytet. I ten generał wszedł do mojego pokoju, gdzie pracowałam, powiedział: „Co ty robisz tutaj?”. To ja powiedziałam: „Robię lekcje”. Ja pamiętam, że ten, który jest odpowiedzialny za dyscyplinę, zemdlął na miejscu. To on powiedział, ten generał: „Po pracy twojej, o czwartej godzinie, staw się u mnie, ja chcę z tobą porozmawiać”. I ten dyscypliny oficer, jak to się nazywa, sierżant major, czy jak to się mówi, powiedział mi: „Ty żeś mi zrobiła, ja opuszczę wojsko przez ciebie!”. I wykrzyczał mnie strasznie. A on mi powiedział: „Z zeszytem. Z zeszytem żebyś przyszła”. Ja przychodzę do tego generała i on mówi do mnie: „Co ty się uczysz?”. To ja mówię: „Ja się uczę wieczorem na uniwersytecie”. „Dostałaś pozwolenie na to?”. Ja mówię: „Tak. Dostałam pozwolenie, zwalniam mnie zamiast o piątej to o czwartej trzydziści, bo to się zaczyna o piątej, ten uniwersytet”. „Co ty się uczysz, tego?”. Mówi: „Wiesz co? Ja mam pomysł. Zapisz mnie też. A jak będziesz miała problemy z arabskim językiem – bo się uczyłam arabskiego –

to przyjdź do mnie, ja ci pomogę”. Skończyła się ta sprawa, on studiował ze mną. Jak on nie przychodził, bo on był zawsze zajęty, to ja podpisywałam jego imię. Nauczyłam się podrabiać jego imię i tak żeśmy żyli sobie w zgodzie. Po latach go spotkałam i byliśmy w wielkiej przyjaźni. Ja już byłam, skończyłam uniwersytet, on wtedy też skończył. On się uczył ekonomii. I przyjechałam do Jerozolimy, na trzeci rok uniwersytetu i jak skończyłam literaturę i historię, to poznałam mojego męża, który był adwokatem w Jerozolimie i pobraliśmy się, i urodziło się troje dzieci. Ja robiłam różne, byłam nauczycielką, później byłam dyrektorką jakiejś organizacji kobiet i później byłam też dyrektorem różnych charytatywnych organizacji, wszystkich organizacji ze strony ministerstwa, premiera, tak, którym by tego. I mój mąż umarł w osiemdziesiątym dziewiątym. A, wybudowaliśmy piękny dom, z kamienia taki dom, z widokiem na całą Jerozolimę. Nie na całą. Na góry i na Yad Vashem. I mieszkaliśmy vis-a-vis Yad Vashem. Jak to by było jakieś przekazanie boskie. I cały czas sobie myślałam: „Wiesz co? Tam, w tych wszystkich papierach są ci, którzy zginęli. Po tej drugiej stronie góry ty sobie żyjesz. To żyj sobie dobrze. Dostałaś w podarunek życie, to żyj dobrze”. I jednego dnia postawili, to pan już słyszał, co opowiadałam, nie? Postawili wagon Oświęcimia, ktoś ofiarował, Polska zdaje się, jeden wagon Oświęcimia vis-a-vis moich, naszych okien. Ale to było daleko, bo to były dwie góry i w środku była dolina. Wszyscy sąsiedzi, że tam było wszystko, wille takie piękne, buntowali się na mnie”. „Ty masz kontakty z Yad Vashem, ty tam pracujesz – ja nie pracowałam w Yad Vashem – musisz im powiedzieć, żeby usunęli ten wagon, bo my nie możemy żyć, patrząc, jak patrzymy przez okno na las, widzimy ten obóz oświęcimski”. Ja im powiedziałam: „Postuchajcie. To jest prawda. Ja nie mam tego wpływu, żeby ktoś mnie słyszał, żeby wysunąć ten obóz – bo oni zrobili rampę taką i... Bo tam, architekt tam był – Ale mam propozycję do was. Tutaj zasadzili drzewka Sprawiedliwych Świata. Idźcie tam raz na miesiąc. Dajcie tam nawóz – nawóz się mówi? – na te drzewka. To jest Aleja Sprawiedliwych Świata. Te drzewa urosną. Zasłonią ten wagon i to dobre zasłoni to zło”. I tak było. Teraz tam jest las. Nie widzi się tego wagonu. Oni nadal pracują i robią wspaniałą pracę. Jest tam dużo badawców. Umarł, całe pokolenie tych, których ja znałam w Yad Vashem, już nie żyje. I pracują tam inni. To się stało tak troszkę, dużo pobożnych tam pracuje, w tym Yad Vashem. Ale są nowi naukowcy, profesor Gutman już nie żyje. Profesor Bauer ma dziewięćdziesiąt lat, ci moi profesory i ja sobie żyję nadal. I słynny poeta izraelski, z którym byłam zaprzyjaźniona, powiedział, umierając, mając dziewięćdziesiąt cztery lata, napisał piękny wiersz, że nikt mu nie powiedział, że długie życie ma coś do czynienia ze starością. I ja mówię to samo, ale czuję się bardzo młoda. Moje dzieci mi teraz zrobili piękne urodziny i film, mając osiemdziesiąt lat, powiedziałam, że: „Ja nie mam osiemdziesiąt, mam cztery razy dwadzieścia”. I to jest mój życiorys. Pięknie pani to opowiedziała. Natomiast miałabym prośbę, żeby jeszcze pani powiedziała... O tej pracy mojej. To za chwilę. Natomiast, jakbyśmy się mogli cofnąć do czasów wojny, bo opowiadała pani o tym, że jechała pani już pociągiem, na wysokości Brwinowa, ze związanym okiem. Ale jakby pani mogła powiedzieć, kto panią wyprowadził z... Nie pamiętam. ... z getta w Ostrowcu. Z Ostrowca, z getta ten Głuchowski, ten człowiek, który później zdradził moją matkę i wydał ją, nie myśląc, że on wydaje polską rodzinę, która ją ratowała. I bardzo późno się dowiedziałam, bo przyjaciółka mojej matki to była profesor Rustecka, która uratowała się przez Rusteckiego. Rustecki był albo ministrem tutaj, albo jakimś znanym filmowcem, nie wiem, kim on był. On był Polakiem i on się ożenił z tą Janką, przyjaciółką mojej matki. Ona się chowała po jednej stronie Warszawy, moja matka po drugiej i miały jakieś kontakty między sobą. I ona opowiadała, i mój ojciec to samo opowiadał, że ten pan, który ratował mnie i moją matkę, jak kończyła się wojna i on zrozumiał, że on będzie musiał zwrócić ten cały majątek, i pomyślał sobie: „Ten ojciec na pewno zginął w tych obozach – bo on wiedział, że on idzie z jednego obozu do drugiego – To dziecko, w ogóle nie wie, że jest żydowskim dzieckiem. Tylko ta mi przeszkadza, ta pani Alterman”. I on ją wydał. I po wojnie,

mój ojciec przychodzi przede wszystkim po Oświęcimiu do niego i prosi go, żeby powiedział, gdzie jest moja matka, gdzie ja jestem. I on mówi: „Marian – on wołał na niego – zaczekaj chwileczkę”. Wraca z siekierą. I trzyma tę siekierę, i mówi: „Ty parszywy Żydzie, wynoś się stąd. Inaczej rozrąbię ci głowę tą siekierą”. I ojciec od razu zrozumiał wszystko. I on był tak słaby, że nie miał siły podać go do sądu. Jak już był troszkę mocniejszy, to oni już byli we wschodnich Niemczech. Oni uciekli. I na tym się skończyło to wszystko. Rzeczy, które nie opowiadałam, nie pamiętam. Ale pamiętam, że te siostry zakonne ratowały mnie trzy razy. Po raz pierwszy to było, że przyszli nagle Niemcy, ja stałam na werandzie, pani to słyszała, stałam na werandzie i tam były dwa duże kosze takie, plecione takie, ze słomy czy z czegoś. Były tam... Tak, z wikliny, były tam jajka, w słomie. I te siostry rozumiały, że wchodzi Niemcy i nie można się cofnąć. I one były strasznie przerażone, były tam trzy zakonnice. Wyjęli prędiutko te jajka z jednego kosza, wstawili do drugiego, wsadzili mnie do tego kosza. Ja byłam, maciupcia byłam, bardzo szczupła. Przykryli tą słomą i jajkami. I stały dwa kosze z jajkami. Weszli ci Niemcy, było zdaje się dwóch, on mówił trochę po polsku, siostra Helena mówiła trochę po niemiecku. I tak się dogadywali, że oni przyszli wziąć te dwa kosze z jajkami, bo oni zabierali te produkty do siebie. I ta siostra Helena zaczęła go błagać, że ma chore dzieci, żeby nie zabrał tego kosza. Ja tylko czułam, jak on stuka, w ten mój kosz, nogą swoją. I dla mnie to była pół zabawka i pół strach. Ja wiedziałam, że mam się bać, dlatego że oni mnie schowali. To ja się nie bawię z zakonnice. Z drugiej strony to była zabawka. Ja się chowam, a oni tam są i oni mnie nie znajdują. I ona błaga go i prosi: „Mamy chore dzieci. Jutro przyniosę ten drugi kosz. Proszę nam zostawić ten kosz”. I on się przekonuje, i bierze ten kosz, ona mu daje ten kosz. Gdyby on podniósł ten kosz mój i zobaczył, jakie to ciężkie jest, bo jednak dziecko waży więcej niż jajka, to by było koniec tych sióstr i mnie, i wszystkich. I tak one mnie uratowały. Po raz drugi mnie uratowały, jak miałam zakażenie krwi tutaj i siostra mnie wzięła do szpitala. I w tym szpitalu, zdaje mi się, że byli też ranni Niemcy. Ale natychmiast byłam na sali operacyjnej, uśpili mnie, zrobili mi jakąś operację, byłam zabandażowana. I może leżałam w szpitalu, czy nie leżałam, czy siostra mnie na rękach, zabrała mnie z powrotem. I trzeci raz już nie pamiętam, ale wiem, że trzy razy byłam tak. Byłam też bardzo chora i ratowały mnie. I one mnie kochały, ale było bardzo ostro. Ja pamiętam, że się paliło coś, albo getto, albo Warszawa, Powstanie Warszawskie, tego nie pamiętam, bo ja już byłam w czterdziestym trzecim roku, byłam już w tym klasztorze. Przyjechałam w czterdziestym drugim. Tego nie wiedziałam. I co chciałam jeszcze opowiedzieć, że jak wyszłam za mąż, zaczęłam wysyłać, w sześćdziesiątym trzecim, zaczęłam wysyłać, bo do tej pory nie miałam grosza. Studiowałam i byłam głodna po prostu, jak uczyłam się na uniwersytecie. I zaczęłam, jak wyszłam za mąż, zaczęłam wysyłać paczki pomarańczy do klasztoru. Wysyłałam te paczki regularnie, pisałam: „Wesołych świąt, życzy Lea Balint”. Siostry odpowiedziały na to długim listem: „Proszę pani, kim pani jest? Jak pani się nazywała w klasztorze?”. Na to ja nie odpowiadałam, lata. W osiemdziesiątym czwartym roku prosiłam w hotelu, żeby połączyli mnie z moim klasztorze, bo chciałam ich odwiedzić, byłam z grupą naukowców z naszego uniwersytetu i studenci też byli. I bardzo mnie to przerażało, wrócić do klasztoru. To było ciężkie przerażenie. I byłam w klasztorze, one mnie przyjęły pięknie. I byłam bardzo wzruszona, szukałam zakonnice z moich czasów, to była jedna siostra, która już była tak głucha, że jak ja krzyczałam jej do ucha, to ona tylko się uśmiechała. Tak że nie mogłam porozmawiać z nią. I jak pamiętam też, że w czasie klasztoru, to był taki stolarz tam, pracował. I on zawsze wrzucał mi cukierki do fartuszka mojego. Były takie fartuszki i tutaj była taka kieszeń w środku. I tak się zawsze dziwiłam i ten cukierek mi starczył na trzy noce. Tak cały czas cmokałam go, rzucałam pod poduszkę, żeby nikt nie widział, że ja mam ten cukierek. I przyjęłam to jako gest człowieka. Jak byłam w tym klasztorze w osiemdziesiątym czwartym roku, te zakonnice opowiadały o tych dziejach klasztoru, to ta zakonnica mówiła: „Ten Żyd, ten stolarz, który tutaj u nas był

w czasie wojny, to umarł u nas. Został po wojnie na cały czas". Wtedy zrozumiałam, że on na pewno wiedział, że ja jestem żydowskim dzieckiem, to mi rzucił te cukierki do środka jako solidarność. Ale ja pamiętam też, jak Niemcy uciekali. Po wojnie, to było tak. Z początku były ciężarówky, później były samochody, później były konie, później były krowy, a później szła taka piechota, zmęczeni, pełni kurzu, a ten stolarz stał i pił wódkę. I pił, już ledwo się trzymał. Ja stałam obok niego, bo zawsze trzymałam mu rękę. I wszyscy krzyczeli z wszystkich stron i przeklinali ich, i rzucali na nich papiery i kamienie, i wszystko. To był ten koniec, tej wojny. Przez ten Brwinów, przez tę wiejską uliczkę oni szli. Ale wracam do tych dziejów, jak byłam w klasztorze, w osiemdziesiątym czwartym roku. I oni mnie przyjęli wspianiale. Ale dla mnie, to było ciężkie przeżycie. I wtedy mnie się pytali, kim ja jestem, jak ja się nazywałam. I nie chciałam powiedzieć. I oni przynieśli książkę tej ewidencji i ja to sfotografowałam, i tam stało Alina Herla, przyszła do klasztoru, mając pięć lat, miałam cztery, tylko oni nie przyjmowali dzieci młodszych, to napisali, że miałam pięć lat. Córka Adeli i Mariana z Ostrowca. Znaczą jako polskie dziecko przyjechałam. I te siostry się pytają: „Czy może pani przysłała nam pomarańcze?”. Ja nie odpowiadam na to. Wchodzę do samochodu, w samochodzie był ten Julek Pyz, Polak, który się ożenił z Żydówką, tutaj mieszkają do dzisiaj. On mnie tam zawiózł i mówi: „Przestań się tak przerażać zakonnicami. Ja mam siostrę zakonnice. Wiesz, co są zakonnice? Oni zrezygnowali z mężów! To co? To one są mądre?”. I tak cały czas mnie uspokajał. Ja wchodzę do samochodu, leci ta siostra zakonna. One prosiły, żebyśmy napisała coś w książce ich, w kronice tego. Napisałam, nie mówiłam po polsku wcale. Napisałam jedno zdanie: „Ten klasztor, w czasie wojny, był dla mnie rajem w piekle”. I ta siostra leci z tą książką i mówi: „Pani Balint, przecież to jest to samo pismo, co ta kobieta wysyłała pomarańcze! Czy to jest pani?”. I wtedy powiedziałam: „To jestem ja”. Ale jeszcze się nie przyznałam. W osiemdziesiątym czwartym roku nie zgadzałam się i do dzisiaj nie opowiadam o sobie. Opowiadam o mojej pracy, nie mam cierpliwości do tego. Nieraz ludzie mnie się pytają: „Co ty ukrywasz?”. Mówię: „Nie mam. Nie ukrywam niczego”. Bo u nas, być wychowaną w klasztorze to jest, jakby pan był wychowany u islamczyków. To jest mniej więcej to samo. I zawsze mi tłumaczy: „Nie martw się, że byłaś ochrzczona”. Ja mówię: „Ja nie byłam ochrzczona”. Ja wiem, bo nie mam żadnego aktu chrztu. „Ale nie martw się tym. Przecież u Żyda. Nawet jak on jest ochrzczony, to się nie przyjmuje tego. Bo my nie wierzymy w te rzeczy. Żyd zostaje Żydem do końca życia”. Ale to mnie nie przekonuje. Nie mam chęci opowiadać. Swoim, moim, nie chcę opowiadać, bo później mnie spotkają i zaczynają się pytać: „Powiedz, jak było w klasztorze. To modliłaś się? Modliłaś się do krzyża? Modliłaś się do tego?”. Nie mam cierpliwości do tego. Chciałbym jeszcze jedną rzecz spróbować doprecyzować, bo pani rodzina została zabrana z domu, mieliście dom w Ostrowcu, tak? I zostaliście przemieszczeni do getta czy dom został... Przemieszczeni do getta. I po wojnie powiedzieli mojemu ojcu: „Jak chcesz żyć, nie wracaj do swojego mieszkania, bo cię zabiją”. Bardzo często się zdarzało, mam kilka takich znajomych, że ludzie przyszyli żądać swój majątek, nawet Basia Engelking pisze na ten temat w książce, że rodzina przeżyła, mieli młyn i ten młyn oddali sąsiadom. I jak skończyła się wojna, oni rzucili tę rodzinę, która, ratowali przez całą wojnę. Narazili się swoim życiem. Był tam mąż, żona i dwoje dzieci. Wrzucili do studni tę całą rodzinę, żeby nie zwrócić im majątku. I były sądy, po wojnie były różne rzeczy. I mam koleżankę, że została zabita przez, jej rodzina, lekarze rodzice, bo wrócili do swojego mieszkania. To myśmy, mój ojciec, nie wiem, czy dostał, czy kupił, czy coś. Nie kupił, dlatego że wyjechalśmy, on wziął ten klucz, który miał i rzucił z pociągu, jak byliśmy w Czechosłowacji. I tam był jeden pokój z kuchnią, a po drugiej stronie to był taki mały domek, nad Kamienną. W drugim mieszkała rodzina, pan Pieloch, który, syn ich był w więzieniu dlatego, że współpracował z Niemcami. I jak mój ojciec brał mnie od czasu do czasu do Ostrowca i wyjeżdżał gdzieś, on wyjeżdżał, żeby załatwić papiery w Warszawie, to ona mnie pielęgnowała.

Właściwie ja spałam sama w tym, miałam wtedy osiem lat, dziewięć lat, to cały czas sprzątałam. Myłam podłogę tam, żeby była czysta, na tej podłodze kładłam gazety, żeby nie deptać na tę podłogę. Wyciągałam tę wodę z rzeki i pamiętam, że ta Pielochowa była antysemitką. I żeśmy się pokochały. I ona mnie brała do kościoła, już po wojnie, a ja wołałam na nią: „Ciociu, ciocia”. I kiedyś mój ojciec powiedział: „Twoja ciocia, jej syn siedzi w więzieniu, że zabijał Żydów”. Do dzisiejszego dnia pamiętam, co to znaczy ludzkie stosunki. Że człowiek może się zmienić. Jak on poznaje drugiego, to nie jest takie niebezpieczne i te wszystkie zabobony odchodzą. Ja pamiętam, że byłam w Lublinie, w dziewięćdziesiątym, nie, to był osiemdziesiąty czwarty, wtedy byłam z tą grupą. I siedziałam w KUL-u, i patrzyłam to wszystko, oglądałam te wszystkie papiery. I nagle przyszła jakaś pani profesor i powiedziała: „Proszę pani, czy pani pozwoli, tutaj są dwie studentki, że nigdy w życiu nie widzieli Żyda. Czy może pani pozwolić, żeby one panią zobaczyły?”. Ja powiedziałam: „Bardzo chętnie”. I one bały się wejść do środka, bo siedzi tam Żydówka. To one przez drzwi tak zaglądały, ja powiedziałam: „Proszę, proszę wejść”. Wstałam i powiedziałam: „Ogon i rogi zostawiłam w domu”. I one tak nie wiedziały, jak zareagować, ale prędko tak odeszły, bo zrozumiały, że może to jest jakaś obraza. Ja sobie myślałam: „Ludzie nie wiedzą, w ogóle i nienawidzą”. Teraz to nie do tego. Byłam kilka lat temu w Nałęczowie i jakaś Polka wzięła mnie na wycieczkę swoim samochodem do Kazimierza. Na tym Kazimierzu stał człowiek i sprzedawał takie szaliczki żółte, żeby jak się jeździ na rowerze zimą, żeby nos nie zmarzł. A ja miałam takiego młodego masażystę, że on cały czas mówił do mnie: „Proszę pani, ja tego nie mogę zrozumieć. Nasz ksiądz mówi, że Żydzi są ohydni. A pani jest mi miła. To jak ja to mam zrozumieć?”. I myślę sobie: „Ten chłopiec jeździ na rowerze do tego Nałęczowa, na pewno mu zimno”. Poszłam i kupiłam takie dwie, jedną dla mojego syna, chociaż tam nie jest tak zimno, że trzeba to, a drugie dla tego masażysty. I ta Polka mówi do tego sprzedawcy: „Proszę pana, dziesięć złotych za taką rzecz? Dwadzieścia złotych pani ma zapłacić za tego?”. To on do niej mówi: „A co pani się tak targuje jak Żydówka?”. To ja do niego mówię: „Jak Żydówka się targuje?”. Ja się jego pytam. To on mówi: „Ona mówi ha, ha, ha, ha. »Proszę pana, dlaczego tak drogo?«. To ja się go pytam: „A pan widział kiedyś Żydówkę?”. To mówi: „W życiu nie widziałem, ale moi starzy mi tak opowiadają”. To ja mówię: „Proszę zobaczyć, ja jestem Żydówką. Proszę spojrzeć”. Ten człowiek zaczął mi całować ręce. I zaczął mnie przeproszać, że się tak źle zachował. „To jest prawda, żaden Żyd mi nic niczego nie zrobił, nie widziałem Żydówki nigdy”. I całował mi ręce. Ja powiedziałam: „Nie, proszę pana. Ja się tym nie przejmuję, co pan mówi. Ale, proszę pana, jak pan to tłumaczy, że Polka się targuje z panem, a Żydówka płaci. To co będzie z tym?”